

## Normalność

Autor tekstu: **Bartosz Jastrzębski**

**N**ormalność, zdawałoby się, jest tylko wyglądem i to — dodajmy — wyglądem dość lichym. W pełni zrealizowana byłaby nijakością doskonałą, czymś po prostu niewidocznym, kameleonią strategią zlania się z tłem. Zlania nie tylko estetycznego, owocującego zerowym tejże estetyczności poziomem, ale również egzystencjalnego: nie tylko normalny wygląd, ale i normalne zachowanie są ni mniej, ni więcej tylko żadne. Powiedzieć wszak o kimś, że jest normalny, znaczy stwierdzić, iż nie posiada jakichkolwiek wyrazistych, wyróżniających cech. Oznacza to: żadnych szczególnych cech pozytywnych (i to stanowi o nie najlepszych konotacjach normalności), lecz także negatywnych, co z kolei cieszy, napełnia spokojem i gwarantuje normalności nie najgorszą prasę. Nie sposób jednak wystawić sobie sytuacji na przykład takiej: oto kochanek w półboskim, erotycznym uniesieniu, na skutek którego wzbiera w nim rozkosz i czułość pospołu, pohamowując z trudem przyśpieszony obietnicą spełnienia oddech, wyrzuca z siebie westchnienie uwielbienia dla jedynej: o Boże, jakaś Ty normalna... Na co ona, w podzięcie i miłosnym rewanżu, docierając do granicy, poza którą nie chcą się już rodzić słowa, a jedynie bardziej pierwotne dźwięki, rzuca mu z głębin drżącej przepony: mój Ty najzwyczajniejszy ze zwykłych... Tak doprawdy się nie dzieje i dźiać nie może, ani rozkosz, ani ból nie bywają bowiem normalne. Nie bywają normalne żadne intensywne stany istnienia, bowiem istnienie samo normalnym się nie wydaje. Tam więc gdzie go doświadczamy, gdzie dotyka nas swym żarem lub lodowatym chłodem tnącego swojskość codzienności ostrza jest niezwykajnie, obco, niebywale. Normalność spełnia się bowiem w zestandaryzowanym pakiecie zachowań i reakcji, w pospolitej, acz nieuniknionej zwyczajności powtarzalnego, w rozplątaniu tego, co szczególnie w klasach i kategoriach społecznych ról i postaw, w namiętym kulcie panteonu socjogenicznych bóstw, w powolnym acz niezawodnym znikaniu zawsze dziwacznej i nieporęcznej, ostentacyjnie niedefiniowalnej osobności we wspólnym oceanie gazetowo-telewizyjnych mądrości. I tylko tam istnieje ona naprawdę: w prasowych kącikach porad psychologicznych bądź w telewizyjnych, nadawanych przed południem, w ciepłym towarzystwie „Domowego przedszkola” (stąd jakby edukacyjnych) programach sławiących uroki zdrowia psychicznego, życiowej zaradności i elastyczności i odwagi sięgnięcia po radę specjalisty gdy cienka skórka normalności zaczyna — pod wpływem wewnętrznego fermentu lub zewnętrznej opresji — pękać, marszczyć się i odłazić płatami. Wówczas przecież normalna większość, uosobiona w naukowo legitymizowanej postaci lekarza lub terapeuty, a wspierana przez pochlipujące ze szczerego bólu i troski otoczenie zaburzonego, pochyli się nad nieszczęśnikiem i pokaże mu szeroki i twardy trakt tego, co zwyczajne, a tym samym pożądane. Medyk wyjaśni, że niewidzialność zwyczajności jest dobrym mieszkaniem, właściwym miejscem pobytu istot społecznych, którymi na mocy przedwiecznych praw, ustanowionych przez Boga czyli Naturę, wszyscy jesteśmy. Dowiedzie, że na ścisłym przystawaniu do społecznego świata można tylko zyskać i to pomimo wrażenia, że zdaje się on być oślizły, lepki, zatem trudny lub niemożliwy do zmycia, a przez to co najmniej irytujący. On jednak jest naszym przeznaczeniem, łonem z któregośmy wyszli, całunem okrywającym naszą ontologiczną nagość, nieokreśloność i kruchość, macierzą rodzącą poznawcze i moralne klisze, które stają się treścią naszego życia i życia tego warunkiem. Wszystko więc co się normalności sprzeciwia, co żre ją od środka jak wstrętne robaki pałaszujące od wewnątrz ciała swoich nosicieli, musi zostać opanowane — i są na to sposoby. Robaków (pełzających, gryzących, drażących podziemie) bowiem usunąć definitywnie się nie da i trzeba z nimi żyć — normalnie.

Cóż zatem ona jest, owa normalność, chleb powszedni życia ludzkiego, co dobrze smakuje tylko wtedy, gdy się go straci?

Rzecz pierwsza, banał, ale taki, który trzeba przypomnieć: normalność jest względna i to względna co najmniej podwójnie — wobec kultury, w ramach której się ją orzeka oraz czasu, w którym to orzekanie następuje. Normalność jest wszak ustanawiana społecznie (choć nie całkiem świadomie się to dzieje, bo masa ludzka *in toto* nadmiarem świadomości nie grzeszy), społeczność szkicuje normalność na swym galaretowatym, amorficznym ciele. Samo sobie nadaje kształt ludzkie stado w toku historycznych, na ogół krwawych i okrutnych perypetii, bo chciałoby wierzyć ono, że istnieje zbiór zachowań i wygląków wyrażających prawdziwe, a przeto właściwe, ludzkie bycie i że, co więcej, jest ów zbiór wspólny wszystkim ludziom, jest

ich wspólnym mianownikiem. Zakłada się więc, iż jakkolwiek marne i trudne byłoby życie musi gdzieś skrywać się jego esencja, istota albo choćby — jeśli już tak nędznie sprawy się mają, że istoty nie ma — tzw. optimum, maksymalny w ramach jego możliwości uzysk przy minimum strat. Klucz do tego uzysku, wzór na niego, manifestuje się w sekwencjach działań, siatkach postaw i towarzyszących im kłębków myśli oraz pakietach wyglądów, które mają zagwarantować kruchą harmonię i skuteczny balans na falach życia. Tak krzepnie i krystalizuje się normalność, „właściwość”, „prawda” o człowieku. Jest to, w praktyce, sposób życia mający stawiać świeczkę Bogu społecznych powinności i obowiązków, bez których współbicie ludzkie całkiem by — jak się powiada — zdziczało, a równocześnie ogarek diabłu zwierzęcych popędów, rozkosznie podsycanych mechaniką zasady przyjemności — bez tych znowu bowiem żywot straciłby wszelki smak, a otchłanie depresji pochłonęłyby ostatnie pokolenia wyspanych z życia widm ludzkich. Ów diabelski ogarek minimalnych jednak może być rozmiarów — i wciąż coraz mniejszych — w toku zwiększającej się komplikacji struktury społecznego świata, boska świeca stanowionych zasad zaś istną gromnicą się stawać musi by coraz skuteczniej kiełznać plugawą i bluźnierczą dzikość ludzkiego serca — co zresztą jest dla tegoż czarnego serca źródłem cierpień jak zauważył już dawno temu pewien wiedeński Mistrz. Normalność jest tedy najpierw wyparciem, stłumieniem psychicznego paskudztwa i świątyni ohydy co rozpościera się od prawieków pośród ludzkich trzewi, bo nieczłowiecze są one jeno zwierzęce, bezosobowe i niebezpieczne dla *civitas*. Stąd bezwzględnie opanować trzeba bydlę mieszkające w człowieku, poskromić jego dziwaczność i irracjonalność, zamaskować wszelkie cielesne procesy bo wstrętne są i wulgarne, ukryć afekty durne i ślepe, ukryć też agresję-wiedźmę matkę wszelkiego zła. Odrzucić należy mroczne uciechy, amputować schorzone, perwersyjne i wyuzdane wyobrażenia, zakleić twardym kitem wiecznie ssące otwory bezbożnych pragnień. Po tym stłumieniu, zamknięciu stygmatyzować te sfery, sygnifikować je jako złe, a zatem nienormalne (dobro jest normalne) i przystąpić do stanowienia i obwieszczania rozumnych zasad normalności, które pozwalają człowiekowi być człowiekiem - wśród innych ludzi. Jakże są owe zasady?

Oto należy kultywować stany pożądane społecznie. W toku dziejów oznaczało to zachowania rozmaite. Oto na przykład w zamierzczłych czasach wieków średnich mogło to oznaczać przeżywanie (lub fingowanie) smutku płynącego z refleksji nad grzesznością rodzaju ludzkiego i z antycypacji tegoż rodzaju fatalnego a bolesnego końca. Należało manifestować pokorę i obnosić się z niezbyt twórczą cnotą posłuszeństwa — wszak świat jest piramidą boskiej hierarchii, gdzie poszczególne warstwy zależne są od siebie, bezwzględnie i — z góry na dół - jednokierunkowo. Należało okazywać bojaźń wobec rzeczy dużych i małych, trwożyć się nawet w obliczu rzadkich uśmiechów losu, bowiem mogą być ukrytą pokusą diabelską co ku gnuśności powiedzie, zgorzeniu a w końcu i na zatracenie. Trzeba było dziękować Bogu głośno za wszystko, nawet jeśli w owym „wszystko” mieściła się męka niewolniczej pracy, choroby, głód i ucisk. Trzeba było głosić łaskę i splendor Stwórcy oraz okazywać oddanie nawet w ponurych leprozoriach, wśród walających się strzępów własnego ciała i zaropiałych łachmanów wciąż jeszcze przytrzymujących resztki korpusu przy ugiętym kręgosłupie. Czymś normalnym były naonczas procesje biczowników, zastępy pobożnych dręczących własne ciało włosienicami, szpikowanymi żelastwem krzyżami, pasami cnoty etc. Czymś właściwym było okazywanie emocji (przynajmniej niektórych), nawet przesadne, bo Bóg mieszka w sercu i kto sercem „myśli” i działa bożym jest człowiekiem. Na porządku dziennym były tężejące w rozszerzonych źrenicach widzenia i wizje, na skutek których można było — ot, choćby — resztę życia na słupie spędzić. Odpowiednimi były wstrzemięźliwość, dziewictwo i post, właściwym widzenie swojego „ja” jako gorejącej krosty na przezrystym ciele mistycznego Chrystusa, krosty, której jedyną powinnością jest zniknąć, by w skorupie materii cielesnej mógł zacząć znowuż zionąć boski oddech. I tak błogosławiony Henryk Suzo wspomina w swej *Księdze Życia*, jak to nie mógł przedostać się do swej pryczy, bowiem żelastwo służące samoudręczeniu definitywnie zaważyło mu drogę, sięgając niemal po strop celi. A gdy w końcu oświecony boskim światłem zakonnik wyzwalająco wyśmiał swą strategię służącą zbawieniu (że oto miałby dzięki onemu żelastwu zjednać sobie Bożą przychylność) i wyrzucił mroczne instrumentarium przez okno do rzeki — bodaj Renu — wtedy, właśnie wtedy współbraciszkiwie (ludzie wszak uczeni, bo przynajmniej piśmienni) orzekli: brat Henryk oszalał, wyrzucił normalność wraz z żelastwem. Oto zwyczajność i jej łamanie sprzed siedmiu setek lat. Taki był świat i takie normalne w nim bycie. Kto zaś by się za bardzo oddalił od takich *modi* istnienia dziwnym by się zdawał, a może też bezbożnym i złym.

Następnym jednak epokom — w tym także i nam — te średniowieczne zwyczajności

mocno dewiacyjnymi się wydały. Jako nienormalne wystawiono sobie religijne ekscesy i szaleństwa. Inne przeto normy ogłoszono, bliższe już współczesnym, bo bardziej rozumne. Oświecone wieki przyniosły nader przydatne pojęcie psychicznej choroby, co na normalność dybie i jej urąga. Wówczas to otworzyły się szeroko bramy pierwszych psychuszek, ruszyły z portów sławetne Statki Głupców, a nieco później Kant napisał swą *Antropologię w ujęciu pragmatycznym*, gdzie już całkiem ładnie dzieli nienormalność na cztery rodzaje: zmyślanie niedorzeczności („w domach wariatów głównie kobiety z powodu swej gadatliwości cierpią na te chorobę”), obłąd („na tego rodzaju chorobę cierpią ci wszyscy, którzy wszędzie wokół siebie widzą wrogów, którzy sądzą, że miny, słowa i inne obojętne działania ludzi ich otaczających są zastawionymi na nich sidłami”), obłąkanie („ludzie cierpiący na te chorobę są w większości bardzo zadowoleni: zmyślają bzdury i znajdują upodobanie w bogactwie tak spotęgowanego powinowactwa pojęć ich zdaniem pasujących do siebie.[...] Obłąd tego rodzaju jest twórczy [...] jak poezja i niesie ze sobą rozrywkę”) i aberracja („chory na duszy wlatuje nad drabinę doświadczenia i ugania się za zasadami, które mogłyby być wyniesione ponad kryterium doświadczenia, rojąc sobie, że pojął niepojmowalne” [1] - ot, i masz filozofa!). Kant więc już duma podobnie jak my, choć jego epoka, z bliska oglądana, także nie całkiem normalna się wydaje. Weźmy choćby owe dworskie obyczaje wzajemnego iskania wszy, a następnie tłuczenia stworzeń specjalnie do tego przygotowanymi złotymi młoteczkami, koszmarną osobliwość ówczesnej mody, obrzydliwe niedostatki higieny, nieludzkie traktowanie tego co obce, niedorzeczną wiarę w postęp rozumu ludzkiego...Również podział chorób psychicznych nieco się w międzyczasie skomplikował. Wtedy jednak dokonuje się owo wielkie zamknięcie, totalna separacja, zakreślenie pierwszych szkiców rozumnej normalności, która ostatecznie ma rozświetlić i zniweczyć cień zamieszkujący człowieka.

Zostawiwszy przeszłość, co jawi się dziś jako już tylko jako gabinet osobliwości, przyjrzyjmy się tedy współczesnej normalności, temu co dziś oznacza spełnianie społecznie pożądanых aktów.

Normalność jest tedy pełną i niezakłóconą funkcjonalnością w układzie, zakrzepłą w niemal niezmienną sekwencyjność działań i towarzyszących im ścieżek myślowych. I jedne i drugie zdeterminowane są praktyką życia wśród ludzi. Człowiek normalny ma zanikać w społecznym działaniu i poręczności jak ów słynny heideggerowski młotek, co póki tłucze sprawnie gwoździowe łby ukrywa się bezpiecznie w byciu posługującej się nim ręki. Społeczeństwo zaś działa tym sprawniej im mniej cech osobowych — poza wyznaczoną funkcją - jednostka objawia. By ową deindywidualizację osiągnąć winno się żyć (lub przynajmniej chcieć żyć) wplecionym w złożoną tkankę społecznych mitów i stereotypów. Warunkiem minimalnym sukcesu będzie życzliwy posłuch tym ostatnim udzielany. Stąd też normalność wyraża się i realizuje w naśladownictwie innych, tych innych, którzy stanowią większość, przytłaczającą choć niewidoczną masę, o rysach objawiających się — niczym pismo sympatycznego atramentu — dopiero w niezliczonych badaniach opinii społecznej, pozwalających wyłonić się obrazowi społecznego *Antrophosa*. Karzące się tymi badaniami media przydają temu szkieletowi mięsa konkretnej naoczności, a także powabu i atrakcyjności niezbędnych by normalność wdroyć i umocnić. Ta ostatnia ma być ciepła i zachęcająca, ma być rozkoszą identyfikacji z bytem większym i mocniejszym niż krucha i pusta osobność. Oto o zaranku — jak wszyscy niezaburzeni — zmierzamy do pracy w tramwajowym tłoku lub ulicznym korku. Pracujemy ciężko by zarobić i ubarwić szary świat, obwiesić go ozdobami, nasycić nowością, która wyprzedza nas zawsze o krok. Oto w powolnym kondukcje zmierzamy ku bramom cementarnym, gdy przychodzi 1 listopada — w tym bowiem dniu ma skroplić się refleksja o przemijaniu i tylko w tym dniu spiker mówi, że nie tylko w tym dniu winniśmy pamiętać o tych, którzy — jak się to ładnie mówi — „odeszli”. Oto ruszamy do urn wyborczych by pokierować swym losem, choć jeszcze się taki nie narodził co by pokierować losem mógł i umiał. Oto rodzinnie zasiadamy przy wigilijnym stole dzieląc się opłatkiem, choć w boską transsubstancję nijak już nie wierzymy — podobnie jak magiczną moc życzeń. Inwestujemy gdy mówią, że trzeba inwestować. Ubezpieczamy, co trzeba ubezpieczyć, nie chcąc przy tym rozważać faktu, że największa wypłata tkwić będzie w ściśniętych pośmiertnie szczękach naszych własnych zwłok. Bawimy się wieczorami (i koniecznie w Sylwestra, dobrze byłoby również w karnawał), bo trzeba się człowiekowi zabawić lub oglądamy film oznaczony w programie czterema gwiazdkami (bądź przynajmniej staramy się go oglądać, jako że czterogwiazdkowe produkcje są często po prostu nudne i wydumane — jeśli zaś ambitne oglądanie się nie uda ochoczo i z ulgą powracamy do konsumpcji jakiegoś kiczu). Raczej

pijemy alkohol niż, na przykład, palimy trawę. Robimy badania profilaktyczne, leczymy się, zapobiegawczo, przyjmujemy witaminy i mikroelementy. Oto chętnie ulegamy modom i trendom, zamieniając wciąż starsze na nowsze, gorsze na lepsze — by z normalności przez swą opieszałość nie wypaść. Odpoczywamy w sklepach, kupując (jakieś dobre tam bowiem światło — rzecz cenna w północnym kraju) lub na łonie natury, bo — jak to z łonem bywa — przyjemnym i miłym dla oka się zdaje. Staramy się dobrze wyglądać, to bardzo ważne: nie mieć zmarszczek, podpuchniętych lub sinych oczu, zębów żółtych od papierosów, zgarbionych pleców, odbarwień na skórze, wystającego brzucha, obwisłych piersi, owłosionych nóg i bikini, nieświeżego oddechu, łupieżu, grzybicy stóp, plam na skórze, cienkich rzęs, bladych ust i brwi gęstych jak krzaki tarniny. Nie nosimy spranych ubrań, nie dajemy w mordę choć ona sama wydaje się o to upraszać. Legalizujemy związki i dochody, płacimy podatki i rachunki. Staramy się być tolerancyjni i wyrozumiali, bo wartości te sygnują cywilizowanego człowieka. Trzymamy fason, zachowujemy twarz, w miarę możliwości pilnujemy by także inni ją zachowali. Pokazujemy, żeśmy inni niż wszyscy - wszak wszyscy tak robią. Gdy własna nasza inność dokucza maszerujemy do psychiatry. Kpimy ze schematyczności zachowań, bo znakiem rozumu jest z niej kpić. Kpimy też ze swego kpienia, bo tworzenie metapoziomów dobrze służy ironii, pocieszycielce wyjałowionych i zdezorientowanych Nienawidzimy miernoty polityków i społeczeństwa. A przy tym mowy używamy grzecznej, uprzejmej zgadzając się z rozmówcą nawet wówczas gdy kompletnym głąbem, plotącym od rzeczy się wydaje. Nie poruszamy tematów trudnych, niewdzięcznych. Szanujemy intymność i prywatność drugiego i nie zadajemy osobistych pytań - choć te często są najbardziej interesujące. Nie mówimy także jak naprawdę wygląda — w mowie naszej wygląda zawsze dobrze. Panujemy nad swym ciałem i wzrokiem: nie puszczamy wiatrów, nie gapimy się, nie dotykamy czego dotykać nie wolno, nie machamy rękami, nie plujemy na chodnik, nie robimy głupich min, nie zgrzytamy komicznie zębami. Jesteśmy przewidywalni i obliczalni, bo tylko tacy ludzie wśród innych mają przyszłość. Tak rodzą się socjoekstazy pożyczonej tożsamości, socjoekstazy normalności.

Taka jest dzisiejsza normalność wyrastająca na przecięciu instrumentalnej rozumności, wybujałej estetyki i wszechwładnej ekonomii, a na dokładkę przyprawiona czasem resztkami sentymentalnego przywiązania do starych, minionych już porządków bycia. Oczywiście owe aktywa normalności liche się wydają i powierzchowne. Betonowy sarkofag „bycia w normie” ciąży i uwiera. Jednak jego brak może spowodować — jest taka obawa — rozerwanie, efekt pompy próżniowej. Utrata lub porzucenie powszedniej zwyczajności powoduje wszak lawinowy wzrost ilości życiowych katastrof małych i dużych, derealizację, wypadnięcie z solidnej (przynajmniej na pierwszy rzut oka) triemy realności. Rozpoczyna żywot tragiczny w tym pierwotnym, greckim, mrocznym i pełnym udręki znaczeniu tego słowa. Żywot w skrajnym stopniu samotny i wyobcowany. Normalność jest bowiem warunkiem komunikacji. Komunikując się z innym muszę zakładać, że pozostaje on w jakimś bliskim stosunku z siecią powszechnych, zuniformizowanych sposobów bycia i myślenia. Że patrząc na daną rzecz lub oceniając daną sytuację uczyni to podobnie jak ja i jakiś tam domyślny trzeci i czwarty. Bowiem gdy mówię o kimś „normalny” często mam również na myśli: zbliżony do mnie, analogicznie do mnie działający i myślący. Warunkiem komunikacji — i chyba w ogóle egzystencji -jest wiara w to, że tacy ludzie istnieją. Stąd owa dokuczliwa bez wątpienia normalność jest, zda się, jedynym co pozostaje, jedynym — choć duszącym i ciasnym — surdutem, w jaki trzeba się wcisnąć chcąc wyjść do ludzi i ich przy tym nie wystraszyć. Społeczna, „normalnościowa” legitymizacja wartości i postaw samotnie pozostała na placu boju, ona jedynie jest dostępna odkąd zbiegli bogowie i rozsypały się w szary proszek wzniosłe, acz słabe w nogach idee człowieka. Mało tego: normalność może również wybornie smakować zwłaszcza gdy na horyzoncie majaczy ponury cień utraty codzienności, szaleństwa obracającego w niwecz heroiczne próby umoszczenia się w niewesołym świecie. Z tej perspektywy przypomina ona wygodny, wysiedziany fotel, w którym można przeczekać wszelkie burze i nawałnice, gniazdo osłonięte przed wichrem.

A jednak spod normalności wycieka i wyciekać będzie bokami osobliwość. Osobliwość ta jest na ogół przeżywana i wyrażana w ściśle prywatnych sferach własnych myśli, wyobrażeń i nastrojów. Jednostkowa „nienormalność” może też być zastępczo przeżywana w fikcyjnych światach dzieł literackich i filmowych. Bowiem larwa opleciona doskonale skrojonym kokonem zwyczajności chce przegryźć się przezeń i wyjść, nawet jeśli na zewnątrz nie będzie wiedziała co począć ze swoją wolnością (w rzeczy samej: cóż z nią można począć?) lub będzie czekać ją tam zguba. I nie jest to stwór łagodny i roślinożerny, przeciwnie: pożąda on ciała i krwi i to z tego samego gatunku co jego własne. Jest to istota targana sprzecznymi emocjami, nie

znająca siebie, podległa władztwu zamieszkujących głębiny chtonicznych bogów, niezrównoważona i pełna pasji płynącej z mięsistych, przekrwionych włókien jej *thymosu*. Istota instynktowna i amoralna jak samo życie, będące pulsującym strumieniem płynącym z nikąd do nikąd. Istota ekspansywna, pragnąca rozrastać się we wszystkich kierunkach — jak rozłożyste drzewo — nie bacząc na kogo rzuca cień i jak jest on głęboki — lubi bowiem dominację i przemoc. Istota poddana represji i słumieniu, osnuta mrokiem za sprawą zbyt długiego pobytu w podziemiu, dzika, omszała i splątana jak nieistniejące już puszcze. Wiecznie odmładzająca się w swym nieustannym umieraniu, które następuje zawsze po zaspokojeniu jej żądz.

Jest tedy tak oto: schwytni w pułapkę samych siebie, zamknięci w niby przejrzystym ale przecież nieprzenikalnym i hermetycznym bąblu własnej świadomości (sławetnej monadzie bez drzwi i okien) staramy się być normalni. Chwytni ulotne, chwilowe doznania i przeżycia by układać je w drogocennej — acz dziurawej - szkatułce pamięci. Nie dopuszczamy by z środka wypęzło to, co naznaczone jest cieniem i nienawidzi społecznego świata — choć z tych sfer właśnie wypływa pojmowane najbardziej elementarnie życie z całym swym bólem i rozkoszą. Rozproszeni w mętnych rozterkach i miazmatach trosk, przyciskani od kulturowej „góry”, atakowani od instynktownego „dołu” chwytni się normalności jak tratwy. Bo choć z marnego uczyniona jest sitowia pozwala, jeśli już nie płynąć gdzieś konkretnie to przynajmniej dryfować na powierzchni oceanu realności. Nie wiadomo czy prócz tej powierzchni posiada morski przestwór jakąś głębię i czy jest ona taka, że chciałoby się ją eksplorować. Ocean jednak kusi niczym zwierciadło Narcyza, skoczyłoby się weń, jak podpowiada Tanatos. Z drugiej strony pragnie się również płynąć dalej, zwłaszcza, że stopy przyrosły jakby do rachitycznego pokładu, słońce ogrzewa czasem przyjemnie, a ptaki istotnych doświadczeń przysiadają nieraz w przelocie. Trzeba się zatem nauczyć nie bać wód i zacząć czerpać zadowolenie z dryfowania. Najpewniej na nim bowiem strawimy życie. Jednak wzrok, w upartym oczekiwaniu, zawsze będzie pilnie lustrował horyzont jakby już za chwilę miało coś zza niego wychynąć.

---

Przypisy:

[1] I. Kant, *Antropologia w ujęciu pragmatycznym*, przeł. E. Drzazgowska, P. Sosnowska, IFIS PAN, Warszawa 2005, s. 137-138.

#### **Bartosz Jastrzębski**

Ur. 1976. Wykłada filozofię i etykę w Dolnośląskiej Szkole Wyższej Edukacji i na Uniwersytecie Wrocławskim. Doktorat poświęcił filozoficznym aspektom poezji Blake'a (wyd. Wydawnictwo Naukowe DSWE 2006). Wydał zbiór esejów zatytułowany "[Pająk. Szkice prawie filozoficzne](#)" (Wrocław 2007).

[Pokaż inne teksty autora](#)



(Publikacja: 29-11-2007)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5636) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5636>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane

w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych

do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)